

Ludwig Wittgenstein: Uwagi o „Złotej Gałęzi” Frazera

Święta nie są przypadkowym wynalazkiem jakiegoś człowieka, lecz dla swego przetrwania wymagają nieskończenie szerszej bazy. Gdybym spróbował ustanowić jakieś święto, to zanikłoby szybko lub zostało tak zmodyfikowane, aby odpowiadać ogólnej skłonności ludzi. [...]

Ceremonialność (gorąca albo zimna) w przeciwieństwie do przypadkowości (letniej) jest tym, co charakteryzuje przeżycie czci – pisał Ludwig Wittgenstein w „Uwagach o Złotej Gałęzi Frazera”, których fragment prezentujemy w „Teologii Politycznej Co Tydzień”:

„Wittgenstein. Przewycięzanie nieporządku”.

Sposób, w jaki Frazer przedstawia magiczne i religijne poglądy ludzi, jest niezadowolający: sprawia, że wydają się one błędami. Czy więc Augustyn był w błędzie, kiedy na każdej stronicy swych *Wyznań* przywoływał Boga? Powiedzieć jednak można, że jeśli nie był w błędzie, wówczas buddyjski święty – lub ktoś inny – ktoś, czyja religia wyraża zupełnie inne poglądy, był w nim z całą pewnością. A jednak żaden z nich nie popełniał błędu – za wyjątkiem miejsc, gdzie wysuwał jakąś teorię.

Już sama myśl, by wyjaśniać zwyczaj – dajmy na to, zwyczaj zabijania króla-kapłana – wydaje mi się chybiona. Wszystko, co robi Frazer, to uczynienie go zrozumiałym dla ludzi myślących tak samo, jak on. Jest

szczególnie godne uwagi, że wszystkie te zwyczaje są ostatecznie przedstawione, by tak rzec, jako głupie czynności.'

Nigdy jednak nie będzie czymś zrozumiałym, że wszystko to ludzie czynią ze zwykłej głupoty. Gdy Frazer na przykład wyjaśnia nam, że król musi zostać zabity w rozkwicie swych sił, ponieważ w przeciwnym razie, zgodnie z poglądami dzikich, jego dusza nie zachowałaby świeżości, można jedynie powiedzieć: gdzie taki zwyczaj i takie poglądy występują razem, tam zwyczaj nie wynika z poglądu, lecz oba są obok siebie.

Zdarzyć się może i też zdarza się to dzisiaj często, że człowiek wyrzeka się zwyczaju rozpoznawszy błąd, na którym zwyczaj ten się opierał. Jednak możliwe jest to właśnie tam tylko, gdzie wystarczy zwrócić człowiekowi uwagę na jego błąd, aby odwieść go od sposobu, w jaki działa. Ale nie jest tak przecież w wypadku religijnych zwyczajów jakiegoś ludu i dlatego nie chodzi tam o żaden błąd? Frazer mówi, że odkrycie błędu w magii jest nadzwyczaj trudne i dlatego utrzymuje się ona tak długo – bowiem np. zaklęcie, które sprowadzić ma deszcz, z pewnością okaże się wcześniej lub później skuteczne. Szczególnie osobliwe jest wówczas to, że ludzie sami nie spostrzegają, że deszcz i tak spadnie wcześniej lub później.

Myślę, że próba wyjaśniania jest chybiona już choćby dlatego, że wystarczy jedynie zestawić we właściwy sposób to, co wiemy, nie dodając niczego, a zadowolenie, do którego dążymy poprzez wyjaśnienie, pojawi się samo. Wyjaśnienie nie jest wcale tym, co przynosi zadowolenie. Gdy Frazer rozpoczyna i opowiada historię Króla Lasu w Nemi, czyni to łonem, który wskazuje, iż odczuwa on i pragnie, abyśmy

i my to odczuli, że dzieje się tu coś niezwykłego i strasznego. Na pytanie jednak: „dlaczego się to dzieje?”, odpowiedzią będzie właściwie: Ponieważ jest to straszne. Znaczy to, że to samo, co w wydarzeniu tym wydaje się nam straszliwe, wspaniałe, przerażające, tragiczne etc., czy jakiegokolwiek, tylko nie pospolite i pozbawione znaczenia, jest właśnie tym, co spowodowało owo zdarzenie. Można tu jedynie opisywać i powiedzieć: takie oto jest ludzkie życie. W porównaniu z wrażeniem, jakie wywiera na nas to, co zostało opisane-wyjaśnienie jest zbyt niepewne. Każde wyjaśnienie jest hipotezą.

Komuś, kogo miłość pozbawiła spokoju, wyjaśnienie oparte na hipotezie będzie w nikłym stopniu pomocne. – Nie da mu uspokojenia. Stłoczenie myśli, które nie wydobywają się na zewnątrz, ponieważ wszystkie pragną przedostać się naprzód i nieruchomieją w wyjściu. Gdy z opowiadaniem o królu-kapłanie z Nemi zestawi się wyrażenie „majestat śmierci”, widać, że oba stanowią jedno. Życie króla-kapłana pokazuje, co słowa te znaczą. Kto jest pod wrażeniem majestatu śmierci, może dać temu wyraz takim właśnie życiem. – To również nie jest żadnym wyjaśnieniem; zastępuje tylko jeden symbol innym. Albo: jedną ceremonię inną.

U podstaw religijnego symbolu nie ma żadnego przekonania. A błąd jest czymś właściwym jedynie przekonaniu. Chciałoby się powiedzieć: zaszło tu takie a takie zdarzenie; śmieć się, jeśli potrafisz. Zachowanie religijne, takie jak np. religijne życie króla-kapłana, nie różni się od jakiegóś współczesnej, prawdziwie religijnej czynności, od wyznania grzechów, powiedzmy. Również ono daje się „uczynić jasnym” i nie daje się wyjaśnić.

U podstaw religijnego symbolu nie ma żadnego przekonania. A błąd jest czymś właściwym jedynie przekonaniu

Zadawanie śmierci przez spalenie wizerunku.
Całowanie portretu ukochanej osoby.
Oczywiście nie opiera się to na wierze w określony

wpływ na przedmiot, który wizerunek przedstawia. Ma na celu zaspokojenie i osiąga je. Lub też raczej: nie ma na celu niczego; postępujemy w ten sposób i czujemy się wtedy zaspokojeni. Można by także całować imię ukochanej osoby i zastępowanie przez imię byłoby tu czymś jasnym.

Ten sam dziki, który, jak się wydaje, w zamiarze zabicia swego wroga przebija jego wizerunek, struga swą strzałę zgodnie z prawidłami i swe domostwo buduje naprawdę z drewna, a nie z symbolicznych wizerunków. Myśl, że można przywołać martwy przedmiot, tak jak przywołuje się osobę. – Oto zasada personifikacji.

A magia zawsze opiera się na idei symbolizmu i języka. Przedstawienie pragnienia jest, *eo ipso*, przedstawieniem jego spełnienia. A magia właśnie przedstawia pragnienie; ujawnia pragnienie.

Chrzest jako obmycie. – Błąd pojawia się dopiero, gdy magia prezentowana jest jako nauka. Jeśli matka dokonuje adopcji dziecka wydobywając je spod sukni, czymś niedorzecznym jest sądzić, że ma tu miejsce jakiś błąd i że wierzy ona, iż urodziła dziecko.

Od zabiegów magicznych należy odróżnić te, które oparte są na fałszywym, zbyt prostym wyobrażeniu o rzeczach i procesach. Gdy mówi się na przykład, że choroba przemieszcza się z jednej części ciała do innej lub gdy przedsięwzięte środki do usunięcia choroby, jak gdyby była ona ciecżą lub ciepłem. Sporządza się wówczas fałszywy, co znaczy tutaj, nietrafny obraz.

Jakże ograniczone jest życie duchowe według Frazera! A w następstwie: jakąż nieumiejętność rozumienia życia innego niż życie we współczesnej mu Anglii! Frazer nie potrafi wyobrazić sobie żadnego kapłana, który nie byłby w istocie współczesnym angielskim pastorem, wraz z całą jego tępotą i ograniczeniem.

Dlaczego własne imię nie miałoby być dla człowieka święte? Jest przecież z jednej strony najważniejszym danym mu instrumentem, z drugiej zaś – czymś jak klejnot zawieszony mu na szyi przy narodzinach.

Jak bardzo wyjaśnienia Frazera wprowadzają w błąd, wynika z faktu, że można by – jak sądzę – z powodzeniem samemu wymyślać prymitywne zwyczaje i jedynie przypadek sprawiałby, że nie znajdowałibyśmy ich gdzieś rzeczywiście. Znaczy to, że zasada, zgodnie / którą zwyczaje te są uporządkowane, jest znacznie bardziej uniwersalnej natury niż przyjmuje to Frazer. Jest ona zawarta w naszej psychice i dlatego moglibyśmy wszystkie możliwości wymyślać sami. Równie łatwo możemy wyobrazić sobie, że na przykład król pewnego plemienia nie ukazuje się nikomu, jak i to, że każdy członek plemienia musi go widzieć. Wówczas z pewnością nie będzie to pozostawione

przypadkowi, lecz król będzie pokazywany ludziom. Być może nikomu nie będzie wolno go dotknąć, być może jednak będzie tak, że każdy będzie musiał go dotknąć. Pomyślmy o tym, jak po śmierci Schuberta brat pociął jego partytury na niewielkie kawałki i rozdał ulubionym uczniom fragmenty zawierające pojedyncze takty. Działanie to jest dla nas tak samo zrozumiałe jako znak czci, jak postępowanie odmienne – pozostawienie partytur nietkniętych, niedostępnych nikomu. A jeśliby brat Schuberta spalił partytury, byłoby to również zrozumiałe jako wyraz czci.

Ceremonialność (gorąca albo zimna) w przeciwieństwie do przypadkowości (letniej) jest tym, co charakteryzuje przeżycie czci.

Wyjaśnienia Frazera nie byłyby w ogóle wyjaśnieniami, gdyby w ostateczności nie odwoływały się do jakiejś skłonności w nas samych.

Nie tylko dla dzikich, lecz również dla nas, jedzenie i picie wiąże się z niebezpieczeństwami. Nie ma nic bardziej naturalnego niż chęć obrony przed nimi; również teraz sami możemy wymyślać środki obronne. – Według jakiej jednak reguły wymyślamy je? Najwidoczniej według takiej, że wszystkie różnorodne postaci zagrożeń sprowadzone zostają do kilku/bardzo prostych, które człowiek może dostrzec bez trudu. A więc zgodnie z tą samą zasadą, według której nie wykształceni ludzie powiadają, że choroba przemieszcza się z głowy do piersi etc., etc. W tych prostych obrazach znaczną rolę będzie odgrywała personifikacja. To bowiem, że inni ludzie (a zatem duchy) mogą stać się groźni dla człowieka, wiadome jest każdemu.

Że cień człowieka, który wygląda jak człowiek lub jego odbicie w lustrze, deszcz, burza z piorunami, fazy księżyca, zmiany pór roku, wzajemne podobieństwa i różnice pomiędzy zwierzętami oraz ludźmi, zjawiska śmierci, narodzin i życia seksualnego, krótko mówiąc, wszystko, co człowiek z roku na rok postrzega wokół siebie w najrozmaitszych powiązaniach, będzie odgrywał

jaką rolę w jego myśleniu (jego filozofii) i jego zwyczajach, jest czymś zrozumiałym samo przez się, czy też jest właśnie tym, co na prawdę wiemy i co nas zajmuje?

Jakże ograniczone jest życie duchowe według Frazera! A w następstwie: jakąż nieumiejętność rozumienia życia innego niż życie we współczesnej mu Anglii!

Jakże ogień lub podobieństwo ognia do słońca mogłoby nie wyrzeć wrażenia na budzącym się duchu człowieka? Chyba jednak nie „dlatego,

że nie potrafi sobie tego wyjaśnić” (niemądry przesąd naszych czasów) – czyż bowiem dzięki „wyjaśnieniu” czyniłby mniejsze wrażenie? Magia w *Alicji w Krainie Czarów* widoczna w próbie osuszenia się przez odczytanie najsuchszej z rzeczy. W magicznym leczeniu daje się do zrozumienia chorobie, że mogłaby opuścić chorego. Opisawszy taką magiczną kurację, chciałoby się jeszcze powiedzieć: jeśli choroba tego nie rozumie, to nie wiem, jak powinno się to jej wytłumaczyć.

Nie myślę, żeby właśnie ogień musiał wywierać na każdym takie wrażenie. Ogień nie bardziej niż jakieś inne zjawisko – jedno zjawisko wyrzeć wrażenie na tym, inne na tamtym człowieku. Żadne zjawisko bowiem nie jest szczególnie tajemnicze samo przez się, lecz każde może stać się takim, i to

właśnie jest charakterystyczne dla budzącego się ludzkiego ducha, że zjawisko ma dla niego znaczenie. Można by niemal powiedzieć, że człowiek jest ceremonialnym zwierzęciem. Jest to wprawdzie częściowo fałszywe, częściowo pozbawione sensu, ale jest w tym również coś słusznego.

Znaczy to, że dzieło o antropologii można by rozpocząć następująco: Gdy obserwuje się życie i zachowanie ludzi na ziemi, dostrzega się, że oprócz czynności, które nazwać by można zwierzęcymi, takich jak przyjmowanie pożywienia etc., etc., ludzie wykonują również czynności, które mają szczególny charakter i które mógłby być nazwane rytualnymi. Jednak czymś nonsensownym byłoby twierdzenie, że charakterystyczną cechą tych czynności jest to, że są wynikiem błędnych poglądów na fizykę rzeczy. (A to właśnie czyni Frazer mówiąc, że magia jest w istocie fałszywą fizyką, względnie fałszywą medycyną, techniką, etc.).

Przeciwnie, to, co znamionuje działania rytualne, nie jest wcale żadnym poglądem czy przekonaniem, słusznym czy też fałszywym, choć przekonanie – wiara – samo może być rytualne, może należeć do rytuału.

Jeśli za oczywiste uważa się, że człowiek znajduje przyjemność w swych wyobrażeniach, to pamiętać należy, że wyobrażenia owe nie są czymś, co przypomina namalowany obraz lub plastyczny model, lecz stanowią złożony wytwór heterogenicznych elementów: słów i obrazów. Nie należy więc nadal przeciwstawiać działania za pomocą znaków pisma i głosu działaniu za pomocą „wyobrażonych obrazów” zdarzeń.

Musimy przeorać cały język.

[...]

W dawnych rytuałach mamy do czynienia z użyciem wysoko rozwiniętego języka gestów. I kiedy czytam Frazera, chcę za każdym razem powiedzieć: te wszystkie procesy, te zmiany znaczenia nadal są obecne w naszym języku werbalnym. Jeśli to, co ukrywa się w ostatnim snopie zboża, ale także sam ostatni snop zboża oraz wiążący go człowiek, nazywane jest „Wilkiem zbożowym”, to rozpoznajemy w tym dobrze znany nam proces językowy. Mógłbym wyobrazić sobie, że miałbym możliwość wybrania którejs z ziemskich istot jako miejsca zamieszkania mej duszy i że mój duch wybrałby to niepozorne stworzenie jako swe siedlisko i punkt, z którego spogląda. Dlatego,

przypuśćmy, że wybór pięknego siedliska byłby dlań czymś odpychającym. Do tego jednak duch musiał być bardzo pewien samego siebie.

Można by powiedzieć: „każdy widok może być źródłem podniety”, ale byłoby to fałszywe. Właściwym jest powiedzenie, że każdy widok jest znaczący dla tego, kto widzi go jako znaczący (lecz nie znaczy to, że widzi go inaczej niż się rzeczywiście ma). W tym sensie każdy widok jest równie znaczący. Ważne jest, że również pogardę każdej innej osoby wobec mnie samego muszę przyswoić sobie jako istotną i znaczącą część świata widzianego z mego miejsca.

Gdyby dane było człowiekowi, że mógłby wybrać sobie, iż urodzi się jako drzewo w lesie: byłiby wówczas tacy, którzy wyszukaliby dla siebie najpiękniejsze lub najwyższe drzewo; tacy, którzy wybraliby najmniejsze oraz tacy, którzy wybraliby drzewo średnie lub mniejsze niż średnie i uczyniliby tak, jak sądzę, nie z małostkowości, lecz z takiego samego powodu czy rodzaju powodów, jak ktoś, kto wybrał drzewo najwyższe. To, że uczucie, jakie mamy dla naszego życia, jest porównywalne z tym, jakie ma istota, która mogłaby wybrać sobie miejsce w świecie, leży, jak sądzę, u podstaw mitu – lub wiary – że niejako wybraliśmy sobie nasze ciała przed narodzinami.

Sądzę, że dla pierwotnego człowieka znamienne jest to, że nie działa on na podstawie poglądów (wbrew Frazerowi). Pośród wielu innych podobnych przykładów czytam o Królu Deszczu w Afryce, którego

ludzie proszą o deszcz, gdy nadchodzi pora deszczowa. Ale znaczy to przecież, iż nie uważają naprawdę, że potrafi on sprowadzić deszcz; w przeciwnym razie czyniliby to w okresach suszy, kiedy kraj jest *a parched and arid desert*. Bowiem jeśli uznaje się, że to z głupoty ustanowili ludzie kiedyś urząd Króla Deszczu, to jednak całkiem jasne jest, że już wcześniej wiedzieli z doświadczenia, że deszcze rozpoczynają się w marcu i kazaliby wówczas działać Królowi Deszczu w pozostałych porach roku. Albo też: to przed świtem, gdy wzejść ma słońce, celebrowane są rytuały poczynającego się dnia, nie zaś nocą, wtedy bowiem ludzie po prostu zapalają lampy.

Jeśli uznaje się, że to z głupoty ustanowili ludzie kiedyś urząd Króla Deszczu, to jednak całkiem jasne jest, że już wcześniej wiedzieli z doświadczenia, że deszcze rozpoczynają się w marcu i kazaliby wówczas działać Królowi Deszczu w pozostałych porach roku

Gdy coś sprawia, że jestem rozwścieczony, wówczas uderzam czasem swą laską o ziemię lub drzewo etc. Ale nie myślę przecież, że ziemia jakoś tu zawiniła ani że bicie może cokolwiek pomóc. „Wyładowuję swą złość”. Właśnie tego rodzaju są wszystkie

rytuały. Takie działania nazywać można działaniami instynktownymi. I historyczne wyjaśnienia, że, przypuśćmy, ja sam lub niegdyś moi przodkowie wierzyli, że bicie ziemi w jakiś sposób pomaga, są błagą, albowiem są zbędnymi przypuszczeniami, które niczego nie wyjaśniają. Podobieństwo tego czynu do aktu chłosty jest ważne, jednak niczego ponad to podobieństwo nie można tu stwierdzić.

Gdy już znaleziony zostanie związek takiego zjawiska z instynktem, który sam posiadam, to właśnie to jest pożądanym wyjaśnieniem, które rozwiązuje ową szczególną trudność. A jakieś dalsze badanie historii mego instynktu toczy się już innymi torami.

Nie może istnieć wystarczająca przyczyna, to znaczy w ogóle nie istnieje żadna przyczyna, która pewnym rasom ludzkim kazałaby czcić drzewo dębu, lecz to tylko, że one i dąb zjednoczone były we wspólnocie życia, a zatem nie z wyboru, lecz stąd, że zrodziły się razem niczym pies i pchła. (Gdyby pchły stworzyły jakiś rytuał, odnosiłby się on do psa). Można by powiedzieć, że to nie ich zjednoczenie (dębu i człowieka), lecz ich, w pewnym sensie, oddzielenie, spowodowało te rytuały. Bowiem przebudzenie się intelektu następuje wraz z oddzieleniem od pierwotnej *gleby*, pierwotnego podłoża życia. (Powstanie *wyboru*). Formą budzącego się ducha jest oddawanie czci.

II

Na pewnym etapie rozwoju pierwotnego społeczeństwa królowie względnie kapłani uchodzili za osoby obdarzone siłami nadprzyrodzonymi lub za wcielenia bóstwa. Zgodnie z tym wierzeniem uważano, że sprawują oni większą lub mniejszą władzę nad siłami przyrody... (Złota Gałąź, s. 160).

Nie jest oczywiście tak, by lud wierzył, że władca posiada takie moce; sam władca bardzo dobrze wie, że ich nie posiada, czy też nie wie tego wtedy tylko, gdy jest tępy lub ograniczony. Jednak pojęcie jego mocy jest oczywiście zbudowane już w taki sposób, że zgadzać się może z

doświadczeniem – ludu i jego samego. Że pewną rolę odgrywa tu obłuda, jest prawdą o tyle, o ile ma ona miejsce w większości tego, co ludzie czynią.

W czasach starożytnych [mikado] musiał siadywać codziennie rano na tronie przez kilka godzin z koroną cesarską na skroniach, ale siedzieć jak posąg nie ruszając ręką ani nogą, głową ani oczami, a właściwie żadną częścią ciała, ponieważ uważano, że w ten sposób może zachować pokój i spokój w swym cesarstwie (Złota Gałąź, s. 161).

Gdy jakiś człowiek w naszej (a w każdym razie mojej) społeczności śmieje się przesadnie, wówczas na wpół mimowolnie zaciskam usta, jak gdybym wierzył, że w ten sposób mogę zamknąć mu usta.

...przypisują mu moc ściągania i wstrzymywania deszczu, jest panem wiatrów... (Złota Gałąź, s. 162).

Nonsensem jest to, że Frazer przedstawia rzeczy tak, jak gdyby ludy te miały całkowicie fałszywe (nawet obłędne) wyobrażenie o biegu przyrody, podczas gdy posiadają jedynie szczególną interpretację zjawisk. To znaczy, ich wiedza o przyrodzie, jeśliby ją spisali, nie różniłaby się od naszej w sposób *fundamentalny*. Jedynie ich *magia* jest inna.

Król taki żyje ogrodzony ceremonialną etykietą oraz siecią zakazów i przepisów; zadaniem ich nie jest pomnożenie jego godności czy wygod, lecz powstrzymanie go od zachowania, które przez zakłócenie harmonii natury może ściągnąć na niego, jego lud i na cały wszechświat katastrofę, kładącą kres wszystkiemu. (Złota Gałąź, s. 164)

Jest to zarazem i prawdziwe, i fałszywe. Wprawdzie nie chodzi tu o godność ochrony osoby, lecz – że tak powiem – tkwiącej w niej naturalnej świętości bóstwa. Brzmi to zbyt prosto: różnicę między magią i nauką wyrazić można mówiąc, że istnieje postęp w nauce, ale nie ma go w magii. W magii nie ma żadnego kierunku rozwoju, który bierze się z niej samej.

Dla Malajczyków dusza jest małym człowieczkiem, ...o proporcjach, kształcie, a nawet kolorze skóry człowieka, w którego ciele przebywa.
(*Złota Gałąź*, s. 171)

O ileż więcej jest prawdy w przyznaniu duszy takiej złożoności, jak ciału, niż w jakiejś rozwodnionej teorii współczesnej. Frazer nie dostrzega, że mamy tu przed sobą naukę Platona i Schopenhauera. W dzisiejszej filozofii znajdujemy nadal wszystkie dziecinne (infantylne) teorie: bez tego jednak, co ujmujące w tym, co dziecinne.

Najbardziej uderzające, oprócz podobieństw, wydaje mi się zróżnicowanie wszystkich tych rytuałów. Jest jakaś różnorodność twarzy ze wspólnymi rysami, które to tu to tam wciąż wyłaniają się na nowo. Chciałoby się nakreślić linie łączące wspólne części składowe. Lecz wówczas naszemu oglądowi brakuje nadal jakiegoś elementu; tego mianowicie, który obraz ten wiąże z naszymi własnymi uczuciami i myślami. Ta część daje oglądowi jego głębię. We wszystkich tych zwyczajach widać w każdym razie coś przypominającego związek idei i z nim spokrewnionego. Można by mówić tu o związku zwyczajów.

Gdy na skutek gwałtownego tarcia pojawiały się iskry, przykładano pewien rodzaj łatwo zapalnej huby rosnącej na starych brzozech. Robiło to wrażenie ognia ściągniętego prosto z nieba i przypisywano mu wiele rozmaitych właściwości. (Złota Gałąź, s. 481)

Nic nie przemawia za tym, że właśnie ogień miałby być otoczony takim nimbem. Jakież to dziwne. Co znaczy właściwie „robi wrażenie ściągniętego prosto z nieba”? Z jakiego nieba? Nie, nie jest wcale zrozumiałe samo przez się, że ogień jest tak postrzegany – jednak postrzegany jest tak właśnie.

Po rozpaleniu ogniska za pomocą tein-eigin zebrane towarzystwo rozkładało przyniesione ze sobą wiktuały. Po zakończeniu biesiady zabawiali się śpiewami i tańcami wokół ogniska. Pod koniec zabawy osoba, która pełniła funkcję mistrza ceremonii, przynosiła duże ciastko upieczone na jajkach i otoczone ząbkowanym ornamentem. Nazywało się ono am bonnach beal-tine – to znaczy ciasto Beltane. Krajano je na wiele kawałków i rozdzielano bardzo ceremonialnie pomiędzy uczestników. Jeden kawałek miał szczególne przeznaczenie. Osoba, która go dostawała była cailleach beal-tine – to znaczy starucha Beltane, nazwa wielce haniebna. Gdy się zorientowano, kto dostał ten kawałek, część towarzystwa chwyciła tę osobę i udawała, że chce ją wrzucić do ognia [...] Jak długo uroczystość była jeszcze świeża w pamięci ludzi, mówili o cailleach beal-tine jako o umarłym. (Złota Gałąź, s. 481)

Wydaje się, że to dopiero hipoteza nadaje tym wydarzeniom głębię. I możemy przypomnieć tu sobie wyjaśnienie osobliwego związku między Zygfydem i Brunhildą w nowej *Pieśni o Nibelungach*. Że mianowicie wydaje się, iż Zygfyd spotkał już kiedyś Brunhildę. Jest jasne, że tym, co nadaje temu zwyczajowi głębię, jest jego związek z paleniem człowieka.

Gdyby w czasie jakiegoś święta było zwyczajem, że ludzie dosiadają siebie nawzajem (jak w zabawie w konia i jeźdźca), widzielibyśmy w tym jedynie pewną formę noszenia, która przypomina jeżdżenie człowieka na koniu; gdybyśmy wiedzieli jednak, że używanie niewolników jako wierzchowców i obchodzenie święta na takich wierzchowcach było zwyczajem wielu narodów, to w nieszkodliwym obyczaju naszych czasów widzielibyśmy coś głębszego i mniej nieszkodliwego. Należy zapytać: czy owo coś – powiedzmy – mrocznego w obyczaju święta ognia Beltane, jakim obchodzone było przed stu laty, tkwi w nim samym, czy też wiąże się z nim wówczas tylko, gdy potwierdzona zostaje hipoteza dotycząca jego powstania? Myślę, że w oczywisty sposób to sama wewnętrzna natura zwyczaju w jego współczesnej formie sprawia na nas wrażenie mrocznej, a znane nam fakty o ofiarach z ludzi wskazują jedynie sposób, w jaki mamy spoglądać na ten zwyczaj. Gdy mówię o wewnętrznej naturze obyczaju, mam na myśli wszystkie okoliczności, które towarzyszą jego praktykowaniu, a które nie są zawarte w relacji o takim święcie, ponieważ są nie tyle określonymi działaniami charakterystycznymi dla tego święta, ile raczej tym, co nazywać by można duchem święta i co zostałyby ujęte przez opisanie np. rodzaju ludzi biorących w nim udział, ich pozostałych sposobów postępowania, tj. ich charakteru; natury innych ich zabaw, jakie zazwyczaj podejmują. I byłoby wówczas widać, że to, co mroczne, leży w charakterze samych tych ludzi.

W [...] zachodnim Perthshire zwyczaj Beltane był wciąż popularny pod koniec osiemnastego wieku. Pastor parafialny tak go wówczas opisał: »[...] Wszystkie kawałki ciasta wkładają do czapki i każdy wyciąga porcję na oślep. [...] Kto wyciągnie czarny kawałek, jest osobą poświęconą, którą trzeba ofiarować Baalowi [...]«. Thomas Pennant, który w 1769 roku podróżował po Perthshire powiada nam, że »[...] każdy bierze ciasto z mąki owsianej, na którym umieszczono dziewięć czworobocznych guzów i z których każdy poświęcony jest określonej istocie [...]«. Inny osiemnastowieczny pisarz przedstawił święto Bekane obchodzone w parafii Logierait w Perthshire. »[...] Dania te jedzą z pewnym rodzajem ciast pieczonych na tę okazję, które posiadają małe grudki o kształcie baniek uwypuklających się na całej powierzchni [...] Możemy przypuszczać, że ciasto z guzami było dawniej używane dla ustalenia, kto ma być 'staruchą Beltane', czyli ofiarą przeznaczoną płomieniom. (The Golden Bough, s. 618, 619)

Wygląda to jak szczątki zwyczaju ciągnięcia losów. I dzięki temu aspektowi nieoczekiwanie nabiera głębi. Gdybyśmy dowiedzieli się, że w jakimś określonym wypadku ciasto z guzami było pierwotnie pieczone na cześć wytwórcy guzików z okazji jego urodzin i że zwyczaj ten przetrwał w okolicy, to zwyczaj ten utraciłby całą swą „głębnię”, o ile nie tkwiłaby ona w samej współczesnej formie obyczaju. W takim wypadku mówi się jednak często: „oczywiste, że to prastary zwyczaj”. Skąd to wiadomo? Czy jedynie dlatego, że istnieje historyczne świadectwo o tego rodzaju dawnych zwyczajach? Czy też jest jakaś inna podstawa – taka, jaką zdobywa się dzięki introspekcji? Lecz nawet jeżeli historycznie dowiedzione jest jego zamierzchłe źródło i pochodzenie od mrocznego zwyczaju, to przecież jest możliwe, że dzisiaj w zwyczaju tym nie ma już niczego mrocznego, że nic nie pozostało ; z jego dawnej grozy. Dzisiaj jest on być może praktykowany jedynie i przez dzieci, które rywalizują w wypiekaniu ciasta i przyozdabianiu go guzami. Wówczas głębia bierze się jedynie z myśli o owym pochodzącym dniu. Może ono być jednak zupełnie niepewne i można by chcieć powiedzieć: „Po cóż niepokoić się rzeczą tak niepewną” (niczym spoglądająca za siebie Mądra Elza). Ale troski tego rodzaju nie wchodzi tu w grę. – Przede wszystkim: skąd pewność, że tego rodzaju zwyczaj musi być prastary (czym są nasze dane, co jest potwierdzeniem)? Ale czy mamy pewność, czy nie możemy się tu mylić i być wprowadzeni w błąd przez historyczne dociekania? Zapewne, jednak wciąż pozostaje wówczas coś, czego jesteśmy pewni. Moglibyśmy powiedzieć wtedy: „Tak, w tym jedynym wypadku pochodzenie mogło być inne, ale ogólnie biorąc jest on z pewnością bardzo dawny.” A w tym, co jest tu dla nas podstawą takiej oczywistości, zawierać się musi cała głębia, jaka towarzyszy owemu przypuszczeniu. Podstawa ta jest ponownie nie hipotetyczna, lecz psychologiczna. Gdy mianowicie mówię: głębia owego zwyczaju leży w jego pochodzeniu, jeśli było ono rzeczywiście takie, to głębia

albo bierze się z myśli o jego pochodzeniu, albo sama jest hipotetyczna i można jedynie powiedzieć: jeśli tak się rzeczywiście zdarzyło, to była to mroczna i posiadająca głębię historia. Chcę powiedzieć: to, co mroczne i głębokie nie tkwi w tym, że taka oto była historia tego zwyczaju, bowiem być może wcale taka nie była; nie w tym także, że być może lub prawdopodobnie była taka, lecz w tym, co jest dla nas podstawą, by tak uważać. Skąd bierze się głębia i mroczność składania ofiar z ludzi? Czy to jedynie cierpienia ofiary są tym, co wywiera na nas takie wrażenie? Wszelkiego rodzaju choroby, z którymi wiążą się równie wielkie cierpienia, nie wywołują przecież takiego wrażenia. Nie, to, co głębokie i mroczne nie jest czymś zrozumiałym samo przez się, gdy poznajemy po prostu historię zewnętrznego działania, lecz to my wnosimy je tam, czerpiąc z doświadczenia we własnym wnętrzu.

Chcę powiedzieć: to, co mroczne i głębokie nie tkwi w tym, że taka oto była historia tego zwyczaju, bowiem być może wcale taka nie była; nie w tym także, że być może lub prawdopodobnie była taka, lecz w tym, co jest dla nas podstawą, by tak uważać

Fakt, że los wyciąga się w postaci ciastka, ma w sobie coś szczególnie przerażającego (niemal jak zdrada przez pocałunek), a to, że wydaje się nam to wyjątkowo przerażające, posiada zasadnicze znaczenie dla dociekań nad tego rodzaju

zwyczajami. Gdy przypatruję się takiemu zwyczajowi, gdy o nim słyszę, to jest wypadek podobny do tego, jaki ma miejsce, gdy widzę człowieka, który z błahego powodu przemawia do kogoś surowo i na podstawie

jego głosu i twarzy dostrzegam, że w pewnych okolicznościach człowiek ten może przerażać. Wrażenie, jakie tu odnoszę, może być bardzo głębokie i niezwykle poważne.

Otoczenie sposobu działania.

Jedno przekonanie leży w każdym razie u podstaw przypuszczenia dotyczącego pochodzenia np. święta Beltane; to mianowicie, że święta takie nie są jedynie, by tak rzec, przypadkowym wynalazkiem jakiegoś człowieka, lecz dla swego przetrwania wymagają nieskończenie szerszej bazy. Gdybym spróbował ustanowić jakieś święto, to znikłoby szybko lub zostało tak zmodyfikowane, aby odpowiadać ogólnej skłonności ludzi.

Co jednak zabrania uznawać, że święto Beltane było zawsze obchodzone w jego obecnej (lub nieco dawniejszej) formie? Chciało by się powiedzieć: ma zbyt mało znaczenia, by było ustanowione w takiej postaci. Czy nie jest to jednak tak, jak wtedy, gdy widząc ruiny powiadam: to musiał być niegdyś dom, ponieważ nikt nie wznosiłby takiego stosu ociosanych i nieregularnych kamieni? I gdyby ktoś zapytał: skąd to wiesz?, mógłbym tylko odpowiedzieć: moje doświadczenie dotyczące ludzi uczy mnie tego. Nawet tam, gdzie ludzie rzeczywiście wznoszą ruiny, mają one formę zwalonych domostw.

Można powiedzieć również tak: ktoś, kto chce wyrzeć na nas wrażenie opowiadaniem o święcie Beltane, nie musi wcale wypowiadać hipotezy dotyczącej jego powstania; wystarczy, że przedstawi nam materiał (który do hipotezy tej prowadzi) nie dopowiadając niczego ponadto. Tu

być może chciałoby się powiedzieć: „Oczywiście, ponieważ słuchacz lub czytelnik sam wyciągnie wniosek!” Ale czy musi ten wniosek wyciągnąć w jego jawnej postaci? A więc w ogóle go wyciągnąć? I jakiego rodzaju jest to wniosek? Że to lub tamto jest prawdopodobne?! Jeśli potrafi sam wyciągnąć wniosek, to jak wniosek ten może wywrzeć na nim wrażenie? To przecież, co czyni na nim wrażenie, musi być czymś, czego on sam nie jest sprawcą! Czy wywiera nań wrażenie dopiero sformułowana hipoteza (sformułowana przez niego lub kogoś innego), czy też sam materiał będący dla niej podstawą? Ale czy nie mógłbym tu równie dobrze zapytać: gdy widzę, że kogoś pozbawia się życia – czy wywiera na mnie wrażenie to, co widzę, czy też dopiero hipoteza, że zabija się tu jakiegoś człowieka?

Jednak to nie po prostu myśl o możliwym pochodzeniu święta Beltane jest źródłem tego wrażenia, a to, co nazywa się niesłychanym prawdopodobieństwem tej myśli. Jako to, co pochodzi z samego materiału.

W postaci, w jakiej doszło do nas, święto Beltane jest przecież widowiskiem i przypomina dziecięce zabawy w zbójców. A jednak nie zupełnie tego rodzaju. Jeśli nawet pomyślane jest w ten sposób, że zwycięża w nim strona ratująca ofiary, to jednak to, co się dzieje, zawiera element nastroju, którego pozbawione są zwykle przedstawienia teatralne. – A gdyby nawet szło tu o zwyczajne i całkowicie chłodne przedstawienie, zaniepokojeni zapytywalibyśmy samych siebie: Do czego zmierza to przedstawienie, jaki jest jego sens?'. I niezależnie od wszelkiej interpretacji mogłoby ono zaniepokoić nas swoistym dla siebie brakiem sensu. (Co pokazuje, jakiego rodzaju przyczynę może mieć takie zaniepokojenie). Przypuśćmy, że jest jakaś niewinna interpretacja: losy ciągnie się po prostu znajdując przyjemność w zagrożeniu komuś wrzuceniem do ognia, co nie jest niczym

przyjemnym; święto Beltane zapewne przypomina wówczas bardziej owe żarty, w czasie których ktoś z towarzystwa ścierpieć musi okrucieństwo, co zaspokaja jakąś potrzebę. Wyjaśnienie takie rzeczywiście pozbawiałoby święta Beltane wszelkiej tajemniczości, gdyby pod względem działań i nastroju nie różniło się od znanych nam zabaw w zbójców etc.

Tak samo to, że w pewne dni dzieci palą słomianą figurę, mogłoby zaniepokoić nas także wtedy, gdyby nie były podane żadne wyjaśnienia. To zastanawiające, jakiś człowiek ma być uroczyście przez nich spalony! Chcę powiedzieć: rozwiązanie jest nie mniej niepokojące niż zagadka.

Dlaczego jednak rzeczywiście (lub w każdym razie w jakimś stopniu) to myśl nie miała być tym, co wywiera na mnie wrażenie? Czy pewne wyobrażenia nie są przerażające? Czy myśl, że ciasto z guzami służyło kiedyś do wybierania ofiary przeznaczonej na śmierć, nie może sprawić, że poczuję się okropnie? Czy w myśli tej nie ma czegoś przerażającego? – Tak, lecz tego, co dostrzegam w takich relacjach, nabywają one przecież dzięki oczywistości, dzięki takiej również, która nie wydaje się z nimi bezpośrednio związana; dzięki myśli o człowieku i jego przeszłości, dzięki całej niezwykłości, jaką widzę w sobie i innych, jaką widziałem i o jakiej słyszałem.

Można również pomyśleć łatwo – i coś zostałoby podane jako podstawa – że to patroni rywalizowaliby między sobą i że tylko jeden z nich może poradzić sobie ze sprawą. Lecz to także byłoby jedynie dodatkową interpretacją instynktu.

Wszystkie te różne zwyczaje dowodzą, że nie chodzi tu o pochodzenie jednego od drugiego, a o wspólnego ducha. Wszystkie te ceremonie można by wymyślać samemu. I duch, z którego by je czerpano, byłby właśnie ich wspólnym duchem.

[...] gdy tylko ogień domowego ogniska został na nowo rozpalony z „ognia w potrzebie”, stawiano na nim kocioł wody i tak ogrzaną wodą kropiono potem ludzi dotkniętych zarazą lub bydło skażone pomorem. (The Golden Bough, s. 641)

Związek choroby i brudu. „Oczyścić się z choroby”.

Dostarcza to pewnej prostej, dziecinnej teorii choroby; że jest ona brudem, który może być zmyty.

Podobnie jak istnieją „infantylnie teorie” płci, tak w ogóle istnieją teorie infantylnie. Nie znaczy to jednak, że wszystko, co uczyniło dziecko, wynikło z jakiejś infantylniej teorii będącej podstawą jego działania.

Nie jest słusznym i interesującym powiedzieć: to wynikło z tego, lecz: to mogłoby wynikać w taki sposób.

[...] dr Westermarck przytoczył ważne dowody przemawiające wyłącznie za teorią puryfikacyjną [...] Mimo to przypadek nie jest bynajmniej tak jasny, by bez dalszej dyskusji zrezygnować z teorii słonecznej. (Złota Gałąź, s. 497)

To, że ognia używano do oczyszczeń, jest jasne. Ale nic nie jest bardziej prawdopodobne niż to, że również tam, gdzie pierwotnie myślano o nich jako o takich tylko, myślący ludzie zwiążali później ceremonie oczyszczenia ze słońcem. Gdy jakiemuś człowiekowi narzuca się pewna myśl (ogień – oczyszczenie), a innemu pewna inna (ogień – słońce), czy może być coś bardziej prawdopodobnego jak to, że pewnemu człowiekowi narzucają się obie. Uczeni, którzy zawsze pragną posiadać jedną teorię!!!

Całkowite zniszczenie przez ogień, inne niż przez rozbicie, rozdarcie itp., mu siało być dla ludzi czymś uderzającym.

Nawet jeśli by nie wiedziało się o takiej myśli, która wiąże oczyszczenie i słońce, można by przyjąć, że gdzieś się ona pojawi.

w Nowej Brytanii mają tajne stowarzyszenie [...]. Każdy mężczyzna wstępując do tego stowarzyszenia dostaje kamień w kształcie człowieka lub zwierzęcia i odtąd dusza jego związana jest z tym kamieniem. (Złota Gałąź, s. 523)

„Dusza-kamień”. Widać tu jak działa tego rodzaju hipoteza.

[...] uważano, że siły nieczyste wiedźm i czarowników znajdują się w ich włosach i jak długo włosów się im nie zetnie, nie można tym niekczemnikom nic zrobić. Toteż we Francji istniał zwyczaj golenia całego ciała osób oskarżonych o czary, zanim przekazano je katu. Millaeus był świadkiem torturowania kilku osób w Tuluzie, których dopóty nie

można było zmusić do przyznania się, dopóki nie rozebrano ich do naga i nie ogolono, a wtedy już dobrowolnie winę swą wyznawali. Pewna kobieta wiodąca pozornie nabożne życie została oskarżona o czary. Znosiła wszystkie tortury z niezwykłą wytrzymałością i dopiero zupełna depilacja doprowadziła ją do przyznania się do winy. (Złota Gałąź, s. 524)

Wskazywałoby to, że u podstaw tkwi tu pewna prawda, a nie przesąd. (Co prawda w obliczu prostacko myślącego uczonego łatwo przyjmuje się postawę sprzeciwu). Ale może też być tak, że całkowicie pozbawione włosów ciało skłania nas w pewnym sensie do wyzbycia się szacunku dla samych siebie. (Bracia Karamazow) Nie ma wątpliwości, że okaleczenie, które sprawia, że we własnych oczach wyglądamy niegodnie, śmiesznie, może odebrać nam całą wolę obrony. Jakże zakłopotani czujemy się czasem – a w każdym razie wielu ludzi (ja) – wskutek własnej fizycznej albo estetycznej niższości.

Fragment pochodzi z książki Ludwiga Wittgensteina „Uwagi o Złotej Gałęzi Frazera”, która wydana została przez Instytut Kultury.